

Mirosław Strzyżewski

Uniwersytet im. Mikołaja
Kopernika w Toruniu

Współczesne edytorstwo to złożona całość

Abstract

Contemporary scholarly editing as a complex entity

Scholarly editing is a highly desirable and practical discipline. Being essential to philology, it now exists in different cultural, technological, economic, and organizational conditions. Obviously, it is possible to separate quintessentially scientific issues from so-called technical problems. Such separation does not demand vast knowledge, which does not interest or concern us, and gives the opportunity to justify potential mistakes. If some scholars' attitude towards scholarly editing remains unchanged, it will lead us to stagnation and result in the long-lasting absence of unabridged editions of works by Polish classics.

Słowa kluczowe: edytorstwo naukowe, krytyka tekstu, ruch wydawniczy
Keywords: scholarly editing, textual criticism, publishing

Skromne dokonania edytorskie nie pozwalają mi na formułowanie wiarygodnych uwag o charakterze ściśle naukowym. Poniższe zdania są tedy wynikiem przemyśleń przede wszystkim entuzjasty i zdystansowanego (krytycznego) obserwatora tej dziedziny, również pracownika wydawnictwa oraz nauczyciela akademickiego, i nie roszczą sobie pretensji do sądów pełnych. Zapewne nie mam racji w wielu kwestiach, a samo przekonanie wewnętrzne nie może być argumentem w pełni racjonalnym. Ośmielam się jednakże wypowiedzieć w tej dość skomplikowanej materii, zdając sobie sprawę z kontrowersyjności wielu stwierdzeń. Od razu na wstępie muszę wyraźnie zaznaczyć, że samo pojęcie edytorstwa traktuję szeroko jako pewną całość wielu zagadnień tekstologicznych i wydawniczych. Moje doświadczenia naukowe, wydawnicze i dydaktyczne, mimo wszystko pozwalają na sformułowanie tezy, iż współczesna

praca edytorska powinna wyglądać nieco inaczej (problem szerszy na osobne omówienie), a samo pojmowanie edytorstwa różnić się od tradycyjnego dwudzielnego rozumienia tej dyscypliny: jako krytyki tekstu, pozostającej pod kuratelą „naukowości”, oraz innych prac redakcyjno-wydawniczych, będących w gestii pracowników „nienaukowych”. Sądzę, że anachroniczne myślenie każące oddzielać te dwie sfery działalności praktycznej, jaką jest w swojej istocie edytorstwo, w sytuacji daleko idących przemian technologicznych jest jedną z ważniejszych przyczyn stosunkowo słabej pozycji naszej dziedziny na mapie współczesnej humanistyki.

Kondycja naszego edytorstwa naukowego nie jest najlepsza. To stały lejtmotyw rozmaitych referatów konferencyjnych, wygłaszanych m.in. na zjazdach polonistów, który powtarzany jest bodaj od trzydziestu lat z okładem. Odnoszę wrażenie, że ta podstawowa dziedzina filologiczna ciągle musi dowodzić racji swojego istnienia, jakby interpretatorzy tekstów literackich zapomnieli, skąd sami się wywodzą, jakie są źródła ich zabiegów (a niekiedy zabaw) hermeneutycznych; nawet w gronie profesorów spotykam się niekiedy z ignorowaniem podstawowych zasad krytyki tekstu, co dowodzi nikłej świadomości tych podstawowych przeciw zagadnień. Łatwo jednak formułować negatywny punkt odniesienia i narzekać na kiepską sytuację edytorstwa naukowego (krytyka wszelka i malkontenctwo to zresztą nasz wątpliwy przymiot narodowy), gorzej z formułowaniem pozytywnego programu. Ten bowiem wypracowuje się w toku codziennej, mozolnej, mało wdzięcznej i mało efektywnej roboty. A ci, często znamienici autorzy, którzy tak łatwo formułowali niegdyś katastroficzne konstatacje, pojawiające się od czasu do czasu i dziś, nie potrafili odmienić istniejącego stanu rzeczy, także ich uczniowie niewiele wnoszą nowego ducha w istniejący stan rzeczy. Cierpimy chyba na pewien nadmiar dyskusji, deklaracji, podchodów personalnych czy humorystycznych parasportowych rywalizacji (najczęściej zresztą fantazmatycznych). Nie potrafimy jako środowisko pracować zespołowo, trudno nam zmienić przyzwyczajenia myślowe i archaiczne formy pracy, poluzować odziedziczone po naszych mistrzach sztywne ramy przygotowania podstaw tekstowych do druku, brak nam nowych teoretycznych refleksji, które w tej akurat dziedzinie humanistyki powinny iść zdecydowanie z duchem przemian technologicznych. Oczywiście można powiedzieć, że np. w zakresie edytorstwa tekstów staropolskich, dzięki konsekwentnej pracy zespołu nieodżałowanego Adama Karpińskiego, wzbogacił się o wcale pokąźną, znakomicie przygotowywaną Bibliotekę Pisarzy Staropolskich, a dzięki staraniom m.in. Jerzego Snopka i Tomasza Chachulskiego ukazują się tomy Biblioteki Pisarzy Polskiego Oświecenia, ale gdy spojrzymy na niedokończone, ciągnące się latami projekty edycji pisarzy dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych, to obraz wyników pracy edytorów jawi się raczej żałośnie (wszak po konkretnych i pełnych rezultatach należy oceniać zamierzenia, a nie po pięknych introdukcjach).

Sądzę, że należy wydać na nowo całą klasykę polskiej literatury dziewiętnastowiecznej, nowe pokolenia tracą bowiem kontakt z kulturalną tradycją

szybciej, niż nam się zdaje. Wzorem jest tu dla mnie Czytelnikowskie wydanie *Dzieł Mickiewicza* pod red. Zofii Stefanowskiej, obok którego powinien wszakże stać na nowo wydany cały Słowacki (stopniowo poszczególne tomy przygotowywane są przez Jacka Brzozowskiego i Zbigniewa Przychodniaka, co każdorazowo witam z atencją i radością), cały Norwid w edycji strawnej dla przeciętnego czytelnika, a nie w formie wydania krytycznego typu „super A”, które powinno być dostępne dla znawców w wersji cyfrowej na platformie lub określonym nośniku; brakuje Zygmunta Krasińskiego zawłaszczonego w toku recepcji przez rozmaite środowiska polityczne, choć był to przede wszystkim wspaniały poeta i pisarz romantyczny; nie znajdziemy w księgarniach pism Bolesława Prusa, Elizy Orzeszkowej, dzieł Marii Konopnickiej, Narcyzy Żmichowskiej, zapomnianego niesłusznie Antoniego Sygietyńskiego i wielu, wielu innych podstawowych dla naszej tradycji pisarzy z tego okresu. Niewiele lepiej rzecz ma się z klasyką przełomu wieków i pierwszej połowy XX stulecia. Dlaczego nie możemy kupić w księgarni dzieł Stanisława Wyspiańskiego, wydanego w zbiorowym zestawie przed czterdziestu laty czy choćby skamandrytów w pełnej wersji ich całej spuścizny? Stanisław Przybyszewski stał się niemodny i spoczął w lamusie modernistycznych staroci. A dzieła Stefana Żeromskiego, ukazujące się sukcesywnie przez kilkadziesiąt lat, nie mogą ciągle doczekać się ukończenia edycji, zresztą i tomy dawniejsze są dawno nieobecne. Na szczęście podjęto już gigantyczne wyzwanie ponownej edycji pism Prusa, zapewne doczekamy się wydania Żmichowskiej, prof. Roman Loth szczęśliwie kończy wieloletnią mękę nad edycją Jana Kasprowicza, sporo prac jest w toku, ale ich rezultaty poznamy za kilka lub kilkanaście lat. O brakach poprawnych wydań pisarzy nowszych sporo mówi Łukasz Garbał w swojej erudycyjnej i ciekawej pracy-przewodniku *Edytorstwo. Jak wydawać współczesne teksty literackie*. Tak więc potrzeb jest mnóstwo. Bo i zapóźnienia wielkie.

Medialni ignoranci „rynkowi” pytają: po co to komu potrzebne? Teksty klasyków niegdyś wydane spoczywają spokojnie w bibliotekach, można po nie sięgnąć i nie ma sensu zapełniać nimi półki księgarni. Kto to kupi? Z podobnymi kuriozalnymi emblematami słownymi można się nierzadko spotkać nawet w środowiskach – wydawać by się mogło – ludzi uczonych oraz wydawców. Abstrahując od celów ściśle naukowych – głębszego poznania i uzupełnienia dorobku naszych klasyków, odpowiedź musi zabrzmieć doniośle: niemożność zapoznania się przez nowe pokolenia ze spuścizną najwybitniejszych polskich pisarzy w naszej dobie ponowoczesnej powoduje utratę kontaktu z głębią kulturową, z której wyrosliśmy. A to z kolei oznacza daleko idące negatywne konsekwencje natury intelektualnej, społecznej i narodowej. Jako literaturoznawcy interpretujemy, interpretujemy, interpretujemy, ale co? Jakże często abstrakty pojęciowe odarte z naturalnych kontekstów, niekiedy bez znajomości podstawowych źródeł tekstowych. Te zaś powinny być dostępne nie tylko dla uczonych, ale dla każdego potencjalnego czytelnika. To rzecz jasna banał. Warto go jednak przypominać. Prac więc w dziedzinie edytorstwa

naukowego tekstów literackich jest bardzo wiele do wykonania – to swoista *neverending story*.

Dostrzegam w ostatnim czasie sporo pozytywnych sygnałów, świadczących o pewnych zmianach w stosunku decydentów polskiej nauki do sfery badań podstawowych. Narodowy Fundusz Rozwoju Humanistyki zaczął wyraźnie wspierać inicjatywy edytorskie, dostrzegając konieczność rozwijania prac na tym polu. W dużym stopniu jest to pozytywnym rezultatem presji zainteresowanych środowisk; ściślej – kilku osób, którym się chciało artykułować głośno we właściwych gremiach właściwe problemy. Sensownie sformułowany projekt edytorski, który ma realne szanse powodzenia, na pewno może dziś uzyskać nawet sporą dotację celową. Musi jednak spełniać warunki pracy zespołowej, dobrze zaplanowanej, właściwie skalkulowanej, co wymaga określonych umiejętności ze strony potencjalnego kierownika grantu i zespołu badawczego. I tu w moim przekonaniu natrafiamy na istotny problem wewnątrzśrodowiskowy. Niestety, często po pierwszych niepowodzeniach w uzyskaniu funduszy można dostrzec zniechęcenie, zamiast determinacji w ponawianiu aplikacji. Może kryją się za tym hipokryzja i wygodność, chyba częściej jednak niewiara we własne siły. To jacyś wymaginowani urzędnicy resortu tudzież uczelni – słyszymy podobne głosy – powinni pisać granty, planować wydatki na poszczególne etapy prac, wyjazdy, kwerendy, publikacje etc. Nic bardziej mylnego. Skąd niby jakiś urzędnik ma znać się na planowaniu mojej pracy badawczej? Obowiązkiem uczonego jest również kalkulować i pozyskiwać środki na badania własne, ale do tego często nasi pracownicy nauki na niwie humanistyki nie są przyzwyczajeni i wolą narzekać na brak środków, zamiast po prostu o nie zabiegać. Zdarza się więc, że pan doktor X powątpiewa w możliwość uzyskania funduszy na ciekawy projekt i nawet nie próbuje się o nie ubiegać. Gdy spotka się nadto z pierwszą negatywną recenzją, zamiast wyciągnąć wnioski z popełnionych błędów, zazwyczaj zakłada brak dobrej woli, układ czy zмовę osób nieprzychylnych. Kto go zatrudnił? Profesor o podobnych „zdolnościach” organizacyjnych! W ten sposób „środowiskowe koło” się zamyka. (Rzecz jasna podaję celowo przesadnie wyjaskrawiony przykład).

Przyzwyczajenia niektórych naszych „zawodowych” humanistów, którzy częstokroć za nadnaturalne poczucie misji i przekonanie o służeniu wyższym racjom skrywają zwykłą niechęć do koniecznego śledzenia postępów w nauce i technologii, nie pozwalają im też zniżyć się do poszukiwania pieniędzy, które powinny być – zdanie dość częste – rozdawane z racji samego statusu tytularnego osoby. A jak nie ma funduszy, to i nie ma prac edytorskich. Taki prosty schemat myślowy na szczęście jest już stopniowo usuwany z arsenału wątpliwych argumentów wewnątrzśrodowiskowych, gdyż widać, jak wielu młodych ludzi potrafi jednak skutecznie zabiegać o środki na realizację ciekawych pomysłów. Tak więc zmieniające się na korzyść (mimo wszystko) warunki finansowania humanistyki w systemie grantów, które promują osoby twórcze, zdeterminowane, z dobrymi pomysłami, nie mogą już stanowić istot-

nej przeszkody w planowaniu prac edytorskich. Tych pieniędzy jest wprawdzie ciągle za mało, ale też, z drugiej strony, gdzie są ci edytorzy z pomysłami i odpowiednimi umiejętnościami?

Wytworzyła się, w moim przekonaniu, dość spora luka pokoleniowa po odejściu naszych mistrzów i tuzów edytorstwa, by wspomnieć profesorów: Konrada Górskiego, Zofię Stefanowską, Zbigniewa Jerzego Nowaka, Zbigniewa Golińskiego i wielu innych. Ich uczniowie, jeśli tacy byli, musieli zdobyć stopnie naukowe na podstawie prac interpretacyjnych, gdyż edytorstwo przez wiele lat nie było dobrym pomysłem na robienie kariery naukowej. Nie bardzo wiadomo nawet, wskutek jakich determinant poznawczych zrodziła się obowiązująca, choć nieformalna tendencja do spychania prac podstawowych (edytorskich, bibliograficznych, archiwistycznych) na sam kraniec filologicznych specjalizacji. Niewielu znam dziś odpowiednio przygotowanych znawców przedmiotu w moim średnim pokoleniu oraz młodszych, którzy mogą podjąć się trudu roboty edytorskiej. Potrzeba do tego pomysłów, pasji, przekonania i wiedzy. To niewdzięczna i wyjątkowo nieefektywna dyscyplina. Sytuująca się dziś wskutek rozmaitych czynników gdzieś na poboczu głównych nurtów humanistyki efektywnej (a często o zgrozo! efekciarskiej). Wymagająca czasu, oddania, szczególnych predyspozycji. Wydaje mi się, że w stosunku do wielkich potrzeb niewielu mamy dziś młodych badaczy, którzy podejmują wyzwanie pracy edytorskiej. W tym właśnie upatruję prawdziwe zagrożenie dla naszej dyscypliny. Wzmagane nadto brakiem organizacyjnych umiejętności, tworzenia zaplecza dla pracy zespołowej, myślenia logistycznego, ekonomicznego oraz metodologicznego pośród profesorów, którzy powinni przecież nadać nowy impuls do przełamania stagnacji oraz przyczynić się do rozwoju naszej dziedziny, która wymaga też przeformułowania podstaw teoretycznych.

Jeśli będziemy nadal tkwić w dawnych modelach prac edytorskich sprzed półwiecza, z czasów naszych mistrzów, to kolejne hiperpoprawne tomy dzieł klasyków ukazywać się będą z częstotliwością jeden wolumin na kilka lat, jak to się dzieje choćby z Norwidem. Edycje naukowe dzieł literackich klasyków dziś publikować należy inaczej – według nowych zasad, które należy wypracowywać każdorazowo oddzielnie dla projektowanego przedsięwzięcia, z wykorzystaniem nowoczesnych technologii. (Pisałem o tym stosunkowo niedawno, więc nie będę przytaczał tych samych argumentów, coraz częściej zresztą dochodzących do głosu i w wypowiedziach innych autorów). I nagradzać takie edycje właściwymi stopniami naukowymi – to oczywiste, gdyż wkład pracy w robotę edytorską jest niewspółmiernie większy od prac interpretacyjnych; wymaga od badacza kompetencji analitycznych, historycznoliterackich, archiwistycznych, redakcyjnych, by poprzestać na wymieniu najważniejszych, nie mówiąc już o czasie, który potrzebny jest na sporządzenie naukowego opracowania edytorskiego. Wypracowanie kryteriów ocen takich prac i zaliczenia ich do dorobku umożliwiającego uzyskanie awansu naukowego to w moim przekonaniu kwestia wcale nie tak trudna, choć wymagająca

refleksji w wyspecjalizowanym zespole, złożonym nie tylko z edytorów, ale i prawników oraz osób decydujących o kształcie nauki polskiej. Skoro łoży się już środki na finansowanie badań podstawowych w zakresie edytorstwa i archiwistyki, to kolejnym krokiem powinno być jasne uregulowanie spraw związanych z możliwością nadawania przez Centralną Komisję stopni i tytułów naukowych za odpowiednie prace edytorskie, tak ważne przecież dla naszej humanistyki i kultury narodowej.

Na koniec, gwoli usprawiedliwienia – zgodnie z sugestią autorów ankiety „Wielogłosu” – pozwałam sobie przedstawić skrót mojego organizacyjno-dydaktycznego *dossier*, które mimo wszystko ośmieliło mnie do zarysowania powyższych problemów.

O edytorstwie na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika po odejściu na emeryturę prof. Konrada Górskiego na dobrą sprawę zapomniano. Jako student miałem zaszczyt współorganizować ostatni – jak się miało okazać – publiczny wykład Profesora w sali Collegium Maius UMK przy Fosie Staromiejskiej 3, która to sala nr 206 (dawniej V), mieszcząca się na pierwszym piętrze zabytkowego gmachu, nosi dziś jego imię. Odbędzie się to w roku 1984. Dla studentów nie miał już później wykładów przynajmniej w tym miejscu, choć odbywały się jeszcze jego odczyty w siedzibie m.in. toruńskiego Towarzystwa Naukowego i w ówczesnej Książnicy Miejskiej. Oczywiście, nie zdawałem sobie wówczas sprawy, że po około dziesięciu latach jako doktor z niewielkim stażem sam będę organizował przy toruńskiej filologii polskiej roczny kurs edytorski w ramach popularnych podówczas studiów podyplomowych. W ślad za tym powstała Pracownia Edytorstwa, nawiązująca bezpośrednio do przerwanej tradycji w uprawianiu tej dziedziny na mojej macierzystej uczelni. Wkrótce, już jako samodzielny pracownik nauki, zorganizowałem specjalizację tekstologiczno-edytorską dla studentów ostatnich lat, która do dziś cieszy się sporą popularnością. A z pracowni wyrósł Zakład Tekstologii i Edytorstwa Dzieł Literackich. Kolejnym krokiem było otwarcie specjalności.

Sporo mamy tam zajęć czysto praktycznych. Tego oczekują dziś słuchacze, którzy mają zgoła inne zapatrywania na przedmiot swoich studiów niż to było jeszcze nie tak dawno temu. W ciągu trzech lat studiów wykłady, konwersatoria, ćwiczenia i laboratoria (tych ostatnich jest najwięcej) obejmują zagadnienia tradycyjne z zakresu historii edytorstwa, krytyki tekstu, rozmaitych form redakcji tekstowej, ale i zagadnienia wydawnicze, księgarskie, marketingowe, wiedzę o najnowszej technologii druku, ekonomicznych podstawach sprzedaży, rachunek ekonomiczny, projektowanie graficzne książki, komputerowe opracowanie tekstu oraz praktyki wydawnicze. Wszystkie przedmioty prowadzone są przez fachowców, często spoza Wydziału Filologicznego i niekoniecznie nauczycieli akademickich. Zajęć tych nie traktuje się jako „wypełniacze” pensum dla doktorów w potrzebie, ale oparte są o dość precyzyjnie sformułowane programy, które zebrane w całość mają przybliżyć studentowi złożoność i wielość zagadnień współczesnego edytorstwa oraz dziedzin z nim blisko powiązanych. Wiedzę ogólną z ich podstawowego zakresu powinni

mieć – jestem o tym głęboko przekonany – także uczeni zajmujący się współczesnym edytorstwem tekstów literackich. W ten sposób całkiem świadomie kształcę i przygotowuję dla naszej dziedziny oraz dla wydawnictw przyszłych pracowników, co już zaowocowało poważnymi zmianami w prowadzonym przeze mnie Wydawnictwie Naukowym UMK; z dynamicznym rozwojem tej oficyny, publikacjami, licznymi nagrodami za poszczególne edycje, można się zapoznać choćby przeglądając stronę internetową wydawnictwa. (Niechętnie jest mi o tym mówić, stąd odsyłam do zawartych tamże informacji).

Niedobór specjalistycznej wiedzy z zakresu współczesnego edytorstwa i dyscyplin pokrewnych w gronie humanistów pracujących dziś na niwie edycji literackich, w poważnym stopniu skazuje naszą dziedzinę na dryfowanie po morzu teoretycznych podstaw, czemu towarzyszy zazwyczaj dobre samopoczucie uczonego po wygłoszeniu kolejnego świetnego referatu na kolejnym tzw. zebraniu naukowym. Oczywiście, badacz tekstolog nie może i nie powinien zajmować się edytowaniem, skanowaniem materiałów czy przygotowywaniem formatów dla drukarni cyfrowej. To nie jego obowiązki. Podstawowe jednak zagadnienia, dotyczące funkcjonowania składów komputerowych, możliwości reprodukcji materiałów graficznych, sztuki ilustrowania książki, sposobów projektowania edycji, powinny być mu choćby z grubsza znane, aby właściwie przygotować logistykę swoich działań czysto naukowych. Po prostu warto wiedzieć, jak przygotować tekst, by mógł się szybko ukazać we właściwej i wyobrażonej formie, oraz warto pytać, kto ma wykonać określone prace redakcyjne i graficzne. Jeden redaktor wydawniczy, choćby najlepszy, na pewno nie wystarczy. To jest prawdziwy problemat wielu zagadnień, które należy wziąć pod uwagę, projektując edycję już na poziomie wniosku grantowego. Edytorstwo powinno przecież owocować ważnymi wydaniem dzieł klasyków, nie zaś miłym gadulstwem. Wiele w naszej dziedzinie filologicznej się dziś zmieniło, a my jakże często jeszcze tkwimy w starych koleinach myślowych, czego bezpośrednim dowodem są „ślizaczące się” wydania edycji rozpoczętych przed wieloma, wieloma, wieloma laty.

Edytorstwo rodzime na pewno się rozwija, ale w moim przekonaniu zbyt wolno. Należy je ujmować w określonym kontekście szeregu zagadnień szczegółowych, a nie tylko w tradycyjnej relacji: uczony – tekst. Musimy za rozwojem i rosnącymi oczekiwaniami nadążać, jeśli chce się właściwie funkcjonować w danej dziedzinie. Oczywiście, pośpiech jest tu niewskazany, wszyscy zdajemy sobie sprawę, jak trudna to i żmudna robota, wymagająca gruntownego namysłu. Ale dobra organizacja pracy, oparta na dobranym zespole uczonych i redaktorów, na pewno jest konieczna. W tym tkwią olbrzymie rezerwy naszej twórczej potencji. Chcę wyraźnie przez to powiedzieć, że edytorstwo nie sprowadza się dziś tylko do filologicznej krytyki tekstu, ale i do zagadnień praktycznych, takich jak podstawy ekonomiczne edycji, organizacja i metodyka pracy, właściwe planowanie procesu wydawniczego, którymi jeszcze niedawno w ogóle nie zaprzątano sobie głowy, przygotowując podstawę tekstu do wydania. Wydawca jest tu tylko technicznym wykonawcą

naszej woli i nikogo nie zastąpi w pracy naukowej czy organizacyjnej, zmieniły się bowiem poważnie warunki funkcjonowania samych wydawnictw, zarówno tych uczelnianych, jak i prywatnych. Kwestie te determinują dziś – czy to się komuś podoba, czy nie – istnienie naszej dziedziny w stopniu znacznie poważniejszym, niż to było jeszcze przed kilkunastoma laty. Dobrze jest zdać sobie z tego sprawę.

Edytorstwo naukowe to bardzo potrzebna, pożądana i praktyczna dyscyplina. Dla filologii ciągle podstawowa, ale istniejąca dziś już w zgoła innych uwarunkowaniach kulturowych i technologicznych, ekonomicznych oraz organizacyjnych. Oczywiście, można dla wygody oddzielić sprawy „czysto” naukowe od problemów „technicznych”, jak to robili nasi mistrzowie. Zwalnia to choćby z balastu wiedzy, która nas bezpośrednio nie dotyczy oraz nie interesuje, i pozornie daje możliwość usprawiedliwienia ewentualnych potknięć, przypisując to, co złe, fatalnemu wydawcy bądź permanentnemu kryzysowi finansowemu. Tak dzieje się zresztą często. To bardzo popularna śpiewogra. Tylko że czasy się zmieniły i nikt już nie chce nagrywać przebrzmiałych oper mydlanych. (Co najwyżej stylizować nowe pomysły na modłę dawnych wykonania). Póki nie zmieni się mentalny stosunek niektórych uczonych do skomplikowanej i złożonej całości, jaką obecnie stanowi dziedzina edytorstwa naukowego, póty będziemy tkwili w marazmie, a nasze dzieci jeszcze długo nie ujrzą pełnych wydań dzieł polskich klasyków na półkach księgarń.